

Diego Armando Goethe

— I widziałem nowe niebo i nową ziemię, albowiem stare niebo i stara ziemia przeminęły, i morza już nie ma — potwórzyłem za moim nieżyjącym ojcem, który przyszedł do mnie we śnie. Zbudzony, przeciągnąłem się i wyjrzałem przez okno w autokarze. Pola Grunwaldu, na których przed wiekami rozegrała się jedna z największych bitew Europy, usiane były namiotami, pośród których kręciło się mnóstwo młodzieży z Polski i Niemiec. Myślałem o moim ojcu. W jego pogrzebie uczestniczyła cała wieś. Przyszli z ciekawości: przez trzy dni po śmierci z jego ust sączyła się krew, która nie krzepła. Gdy ją wycierałem ligniną, ktoś zażartował, że nie krzepnie, bo została za bardzo rozcieńczona alkoholem. Drugi dorzucił, że rzeczywiście, jest prawie błękitna. „Toć to som Ksiunze!”, dodał czyjś głos, chyba Jankowskiej. Po pogrzebie obiecałem matce, że dla mnie ludzie będą mieć więcej szacunku...

Usiłowałem już o tym wszystkim zapomnieć. Wsiadłem z pojazdu, by podążyć za naszą wychowawczynią. Była nauczycielką historii i wspólnie z kolegami ze studiów organizowała ten zjazd: odbywał się z okazji kolejnej rocznicy bitwy i miał być integracyjny. Namówiła nas, żebyśmy właśnie Grunwald obrali za cel ostatniej klasowej wycieczki — byliśmy już po egzaminach na wyższe uczelnie i niebawem nasze drogi miały się rozejść na zawsze.

Słońce przypiekało, gdy szliśmy na pole namiotowe. W dniu bitwy grunwaldzkiej również było upalnie. „Nic dziwnego — pomyślałem — że Krzyżacy przegrali starcie: tyle się wyczekali w słońcu na wojsko Jagiełły”.

Rozstawiliśmy namioty w wyznaczonym dla nas sektorze i poszliśmy zwiedzać. Na początek — pomnik bitwy.

— Jest to dzieło Jerzego Bandury... — wychowawczyni zaczęła swą opowieść. Słuchałem jej słów przez grzeczność. Patrzyłem z zazdrością na kolegów i koleżanki: wszyscy oprócz mnie dostali się na studia i teraz byli uśmiechnięci, skorzy do żartów. Wiedzieli, co będą robić przez najbliższe kilka lat. A ja? To, że nie dostałem się do Krakowa, równało się utracie Róży — ona się dostała.

Ruszyłem obejrzeć pomnik. Okrążywszy go, zauważyłem na nim napis kredą: „Polen die Hure”. I to już nie wyglądało na dzieło Jerzego Bandury, a na robotę niemieckich turystów. Nie znając języka Goethego, mogłem się tylko domyślać, co to może znaczyć.

— A teraz pójdziemy do muzeum... — wychowawczyni doprowadziła nas do okazałego, białego budynku.

Znaczenie napisu niepokoiło mnie. Kiedy weszliśmy do środka, nie potrafiłem się skupić na oglądaniu ekspozycji, zwłaszcza że nigdy nie interesowałem się zardzewiałym żelastwem.

— Walne zwycięstwo oręża polskiego... — wychowawczyni ciągnęła opowieść o swej ulubionej bitwie.

Dopiero kołyszące się zalotnie pośladki młodej turystki z poprzedzającej nas grupy z Niemiec sprawiły, że napis przestał mnie zajmować. Słowa wychowawczyni przypomniały mi, że jeszcze nie odniosłem swego pierwszego w życiu „walnego zwycięstwa” — Liubow, czyli Róża, jak ją nazywałem, chciała poczekać z tym do ślubu... Do ślubu... Chciała, żebym się z nią ożenił w wakacje... w Krakowie leczyłbym nogę i przygotowywał się do egzaminów na następny rok. A ja się przestraszyłem... Cóż, o Róży należało jak najszybciej zapomnieć — i pomyślałem, że „walne zwycięstwo” nad niemiecką turystką może mi w tym dopomóc.

— Dziś po południu zostanie zorganizowane spotkanie integracyjne — powiedziała wychowawczyni, gdy wyszliśmy z muzeum. — W jego ramach odbędzie się towarzyski mecz

Polska–Niemcy, a następnie wieczorek poetycki. Teraz macie czas wolny.

Nie mogąc się zdecydować, co robić — chcieliśmy jak najlepiej wykorzystać chwile, które po raz ostatni spędzaliśmy wspólnie — przez długi czas staliśmy w milczeniu.

— Chodźmy się spać — wysunąłem propozycję, bo innych nie było.

Wielu się zdziwiło — dotąd sumiennie przestrzegałem zasad zdrowego trybu życia — jednak tłumnie ruszyliśmy do pobliskiego sklepu. Miałem nadzieję, że upity przestanę się niepokoić o przyszłość. Kupiłem butelkę wina, które nazywało się Bitwa pod Grunwaldem, z dzierżącym dwa nagie miecze Władysławem Jagiełłą na etykiecie. Jednak gdy przyszło do picia, ochota mi odeszła. Ruszyłem poszpendać się po obozowisku — samotnie. Pragnąłem spotkać tę młodą Niemkę z muzeum, ale nie udało się. Wróciłem do namiotu.

Gdy nastąpiło popołudnie, przyszła do mnie wychowawczyni.

— No, boisko przygotowane. — Wytarła chusteczką pot z piegowanego czoła. — Kompletujemy reprezentację — ciągnęła podekscytowana. — Zgłosiłam cię do naszej... — popatrzyła wyczekująco, zwłaszcza że miałem na sobie swój stary piłkarski dres.

Ochoczo poderwałem się z materaca, ale natychmiast usiadłem, krzywiąc się z bólu.

— Kolano... pani rozumie... nie mogę... — starałem się nie patrzeć jej w oczy.

Zniecierpliwiona, ciągle patrzyła na mój dres. O czym myślała? Tyle dla mnie zrobiła, żeby nauka nie przeszkadzała mi w treningach i żebym został wielkim piłkarzem, który rozślawi imię ojczyzny — a ja nie chciałem się jej odwdzięczyć... Odeszła bez słowa. Jesliby w namiocie były drzwi — trzasnęłyby nimi.

Wtuliwszy głowę w materac, zacząłem nasłuchiwać. Rozległy się dźwięki muzyki. Rozpoznałem hymn Niemiec. Następny był Mazurek Dąbrowskiego, chociaż stosowniejsza byłaby *Bogurodzica*:

— Jeszcze Polska nie zginęła...

— ...póki my żyjemy... — podchwycili polscy uczestnicy zjazdu.

Ileż to razy marzyło mi się wysłuchanie naszego hymnu w biało-czerwonej koszulce reprezentacji...

Rozległ się gwizdek sędziego, po nim doping kibiców. Z żalem pomyślałem, że już pewnie nigdy nie zostanę gwiazdorem futbolu, ubóstwianym przez wszystkich, zwłaszcza przez kobiety. Ogarnęła mnie senność. I znów przyśnił mi się ojciec.

— Zbroję załóż, synku — rzekł. — Silny być musisz, silniejszy ode mnie. Bronić się musisz, bo będą się na ciebie zasadzać. Zbroję z grubego metalu załóż, błyszczącą. Przeciwno chmarze złych słów i spojrzeń, jakimi będą do ciebie strzelać. Wielka wojna cię czeka, musisz zapewnić przetrwanie naszego rodu, jego odrodzenie w potędze i chwale... W tej wojnie trudno ci będzie o sojuszników, ja w swojej nie znalazłem pomocy. Wielu wrogów mieć będziesz, których jedynym pragnieniem będzie twoja zguba, twój upadek. No, załóż tę zbroję, sam ją dla ciebie wyklepałem ze starych miednic i wiader, które ludzie przynosili mi do nitowania. Solidna zbroja. Ona uchroni cię od złego. Twoje imię będzie wymawiane z lękiem. Najpierw — wojna podjazdowa, jaką znali twoi przodkowie. Kiedyś to przed tobą będą zmykać i kluczyć, wielkim wodzem będziesz. Więc załóż zbroję i ruszaj, nie trać czasu, bo jest go mało, ja nie zdążyłem... — mówił, a ja się ocknąłem. Jaka wojna? To chyba przez tę wizytę w muzeum przyśniłem się sobie w zbroi.

Wrzawa ucichła, więc odważyłem się wyjść z namiotu. Napotkałem rozdrażnione spojrzenie wychowawczyni, które

mogło oznaczać jedno: Niemcom powiódł się rewanz za bitwę pod Grunwaldem. Spuściłem wzrok, ale tylko na chwilę — nie mogła mi już w niczym pomóc ani zaszkodzić.

Nie chciało mi się uczestniczyć w wieczorku poetyckim, więc znów ruszyłem powłóczyć się po okolicy. Bezwiednie zawędrowałem pod pomnik bitwy grunwaldzkiej. Napis był na swoim miejscu: „Polen die Hure”. Na pole namiotowe wróciłem, gdy już się ściemniało. Płonęły ogniska, otoczone przez grupki młodzieży. I oto, poszukując mojej klasy, wreszcie wypatrzyłem tę Niemkę! Kurczę! Jak zacząć z nią rozmowę? Nie znałem niemieckiego. Może zaproponować jej szachy? Akurat mam je w namiocie. Ale ona na amatorkę szachów jest za ładna, ja zresztą jestem beznadziejnym szachistą. Na obozach piłkarskich wyłącznie graliśmy w karty... zazwyczaj wygrywałem. Niestety, jak dotąd w moim życiu sprawdzała się prawidłowość: jeśli ktoś ma powodzenie w kartach, to nie ma go u kobiet. Mój związek z Różą był wyjątkiem potwierdzającym tę prawidłowość. Tylko te szachy mi pozostają... Spojrzawszy na dziewczynę, wyobraziłem sobie, jak w którymś momencie uśmiecha się do mnie, mówiąc: „A teraz zbiję ci konia”. Lecz odrzuciłem tę myśl: co by było, gdybym jednak się spietrał i odpowiedział: „*Nein, nein...* zrobię to sam”?

W końcu wpadłem na pomysł, żeby się po prostu przedstawić.

— Victoria — odrzekła, uśmiechając się. Zaczęła mnie wypytywać, kim jestem — po polsku!

Wyjaśniła, że studiuje filologię polską.

— Dlaczego?

— Bo mieliście i nadal macie świetnych poetów — oznajmiła z błyskiem w oczach. A jej oczy były błękitne. Odgarnęła włosy — długie, jasne. — Taki Mickiewicz... Ja również piszę wiersze... — powiedziała cicho. — Na wieczorku poetyckim

czytałam swoją pieśń o przyjaźni polsko–niemieckiej. Może słyszałeś?

— Niestety... — Już miałem powiedzieć, że z pieśni to ja znam jedynie *Legia kurwa! Widzew psy!* albo *Legię trzeba szanować, Legia najlepsza jest...* A poezja? Kiedyś na treningu piłkarskim słyszałem, że „poezja to gówno”. Pomyślałem, że obraziłaby się. Chętniej porozmawiałbym z nią o niemieckiej szkole futbolu.

— Goethe... — tylko to nazwisko mi się przypomniało: przygotowując się do matury, czytałem o nim artykuł, który mnie zaniepokoił. — Bardzo interesujący był z niego człowiek — powiedziałem z uznaniem. — Czytałem, że w swej twórczości był indywidualistą i miał doskonale opanowany warsztat — podobnie jak ja jako piłkarz. Wierszy nie piszę, ale gdybym miał pisać, to chciałbym takie jak on.

Victoria zapatrzyła się w niebo — z rozmarzeniem.

Z artykułu wiedziałem też o powodzeniu u kobiet, jakim cieszył się Goethe.

— Tak bardzo chciałbym napisać wiersz o twych błękitnych oczach, długich jasnych włosach... — obrzuciłem ją spojrzeniem, od którego pokryła się rumieńcem. Jednak moje słowa i spojrzenie jej się spodobały, bo się uśmiechnęła i niespodziewanie rzekła:

— Kocham Polskę... i Polaków...

Nie mogłem zrewanżować się jej miłością do Niemiec. Co prawda, nie uważałem się za zagorzałego patriotę, jak moja wychowawczyni, w dodatku kiepski był ze mnie historyk, ale wiedziałem od dziadka, że polską krew, przelaną na przestrzeni dziejów przez naszych sąsiadów zza Odry, można by wypełnić koryto rzeki — wyglądałaby jak wielka, otwarta żyła.

A miłość do Niemek? Victoria była pierwszą, którą poznałem osobiście. Przypominała mi Claudię Schiffer — jej roz-

bierany plakat wisiał na ścianie w moim pokoju. Dziewczyna mi się spodobała, więc zacząłem szukać w pamięci gestów przyjaźni Niemców do Polaków. I wtedy znów mi Goethe na myśl przyszedł — napisał przecież wiersz *Do Adama Mickiewicza*, który ofiarował polskiemu poecie wraz z piórem. Przypomniałem sobie jeszcze zjazd gnieźnieński, podczas którego cesarz niemiecki nałożył swój diadem na głowę polskiego księcia — Bolesława I.

Mówiąc o tym Victorii, nie wspomniałem, co jeszcze wygrzebałem z opowieści dziadka: że pierwsza litera jej imienia była jednym z symboli hitlerowskiej pychy. Przemilczałem to, bo wieczór miał być integracyjny, a ja coraz bardziej pragnąłem integracji z Victorią...

Uśmiechnęła się i wzięła mnie za rękę.

— Chodź — powiedziała, a gdy się podnieśliśmy, odezwała się po niemiecku do swojej koleżanki z aparatem fotograficznym. Poszliśmy w trójkę w stronę pomnika. — Zrobimy sobie zdjęcie na jego tle. — Wskazawszy na pomnik, dodała kilka słów w ojczystej mowie.

Objęliśmy się. Jej bliskość wzmogła pragnienie „walnego zwycięstwa”.

Błysnął flesz, aż mnie olśniło: przecież ja wciąż nie znam znaczenia napisu. Poprosiłem Victorię o przetłumaczenie na polski „Polen die Hure”.

— Polska to kurwa... — Victoria była nieco zdziwiona.

W jednej chwili przepadło całe moje zauroczenie — mimo że ona w niczym nie zawiniła. Pomyślałem, że jeśli Polska to kurwa, to ja jestem s–kurwy–syn. I w takim razie mam prawo zachować się jak skurwysyn: upić Victorię i odnieść swoje walne zwycięstwo. Co więcej — postanowiłem to zrobić już nie z miłości, a dla uczczenia przypadającej dziś rocznicy bitwy grunwaldzkiej. Będę kolejnym wcieleniem zwycięstwa oręża polskiego pod Grunwaldem!

— Może się wina ze mną napijesz? — uśmiechnąłem się, choć pewnie nieszczerze. Zgodziła się, ruszyliśmy do obozowiska. W namiocie poczęstowałem ją winem, które kupiłem wcześniej w sklepie. Opróżniając butelkę, opowiadała o konieczności przyjaznych stosunków między naszymi narodami, a ja w myślach nuciłem starodawną pieśń bojową rycerstwa polskiego:

— Bogurodzica Dziewica...

A potem:

— Victoria! Victoria! Victoria!

Uszczęśliwiona — zasnęła. A ja nie mogłem zasnąć. Poezja pomogła mi odnieść moje pierwsze w życiu „walne zwycięstwo”, zastanawiałem się więc, czy nie zająć się pisaniem wierszy. Nie wydawało mi się to trudne — przecież słyszałem, że poezja to gówno: wystarczy się dobrze skupić i zacząć ją wydalać. Gdy wreszcie zasnąłem, przyśnił mi się Władysław Jagiełło. Jednak nie ten z nalepki na winie, lecz o twarzy mego ojca. Król zbliżył się do mnie, trzymając jeden z dwóch nagich mieczy ofiarowanych mu przed rozpoczęciem bitwy przez Krzyżaków. Kazał mi uklęknąć na jedno kolano. Sądziłem, że w nagrodę za moje pierwsze w życiu zwycięstwo, i to na polach Grunwaldu, król-ojciec pasuje mnie na prawdziwego mężczyznę i patriotę. Ale on wznosił miecz i uroczyście opuściwszy go na moje ramię, rzekł:

— Od dziś będziesz Diego Armando Goethe...